

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



fot. B. Kucharek, W. Morek, B. Zimowski

Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów

JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 10 (179), Kraków, listopad 2023

fot. B. Kucharek

Wolność !!!



grafika: B. Zimowski i Sztuczna Inteligencja

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (133)

Nic dwa razy się nie zdarza...

Czyżby? Trudno polemizować z noblistką, ale jej piękny wiersz zdarzył się wiele razy. Najpierw zaistniał jako utwór literacki, potem zaśpiewała go Łucja Prus, nieżyjąca gwiazda rodzimej estrady sprzed kilku dekad. Fragment aranżacji wspomnianej piosenki mam w pamięci do dziś i potrafię go zanucić. Bez powodzenia i rozgłosu zmagali się z tymi strofami różni wykonawcy w tym Manam. Minęło sporo czasu i teraz młoda popularna artystka opatruje tekst Szymborskiej swoją melodią, robiąc furorę wśród rówieśników nie mających pojęcia, że to żadne odkrycie tylko odgrzana potrawa.

Kilka dni temu obejrzałem remake „Znachora”. Powieść Dołęgi-Mostowicza zekranizowano już przed wojną, a powojenny film można zobaczyć w każde niemal święta w telewizji. Jest on z resztą arcydziełem w porównaniu z tegoroczną produkcją. Dymna, Bińczycki, Fronczewski, Kopiczyński, nawet nie aktor jeno operowy śpiewak Bernard Ładysz dają popis aktorstwa i miałką dość łzawą historię czynią realną, ludzką, bliską sercu. Ich obecni naśladowcy to słabeuszki potwierdzający tezę, że na nowo nie znaczy lepiej. Ten drugi czy trzeci raz ma obowiązek być lepszym od poprzednika i rzadko się z owego obowiązku wywiązuje. Zawsze irytowały mnie zakusy na poprawianie rzeczy skończonych, właściwych, trafionych w punkt. Gdy słyszę o planach zmiany jakiegoś motywu muzycznego, ilustracji, sygnału dźwiękowego to zawsze pytam: czy stary był zły? Jeśli nie to proszę się od niego odwalić i zostawić w spokoju świętym. Bo jeżeli coś naprawdę ma się zdarzyć kolejny raz to niech się zdarzy dobrze.

Tradycyjne podziękowania za wsparcie naszego pisemka dla: kierownictwa „Vis á Vis”, Krzysztofa M., Elżbiety S., pana F. (także fundatora orzechów), państwa Marii i Józefa P., Romana K., Iwony C., Jacka M., Jerzego F., Jacka P.

Listopad – miesiąc zadumy i wspomnień o tych co odeszli, dzięki ostatnim październikowym wydarzeniom stał się miesiącem jakby weselszym, bardziej optymistycznym. Praca wielu ludzi, którzy odeszli, nie poszła na marne. No i inne spojrzenie mamy na młodzież, która w chwili próby wykazała swą dojrzałość. Tak trzymać! B. K.



foto: B. Zimowski

Adam Kawa

Sonet 27



foto: B. Kucharek

Listopad mżawką i mgłą w liściach opadł.
Chmur o ciężłość horyzont przygniata.
Przez nokturn pełnie ziemi duszny zapach
i księżyc w jodłach.

Śni Dzień Zaduszny o wiosny ramionach.
Rdza wiosennieje i Pierwsza Brygada
i w malowanych piosenką chłopakach
wolność wskrzeszona.

Gdzie jest ten chłopiec ? W jakiej bitwie konał?
Nad cmentarzami idei poświęta
skrzeczy wśród grobów. Wieniec z ciszy splata
prawda? Ironia?

W sonetach polskich narodowa drama.
Strofy safickie trzy i epigramat.

z tomiku „Sonety Polskie”

Alfredzie...

Nie spodziewałem się tego po Tobie
Alfredzie
przepłoszyłeś całe okoliczne ptactwo
zostało tylko szare pierze
zamiast serwetek w Vis a Vis

Dionizos

Ach jakże lubię żyć
drink jeden po drugim pić
swoje życie śnić
do czasu gdy przyjdzie Alfred Grochal
i do wina włoży swój nochal

Michał Piętniewicz



foto: autora



Mieczysław Czuma

Janeczek

Znakomity aktor, ze wspaniałym dorobkiem, jedna z ikon polskiego kina, na koniec swej scenicznej drogi stał się pisarzem. Poznaliśmy się Pod Jaszczurami, gdzie Janek każdego dnia wypijał swoją południową kawę, zawsze pod antresolą, przy stoliku okupowanym przez studentów szkoły teatralnej.

Nowicki, chętnie wypowiadający na każdy temat swoje zawsze oryginalne poglądy, wszędzie był mile widziany. Ale jego najważniejszym adresem był kabaret Pod Baranami. Piwnica to była wtedy galaktyka najpierwszej jasności gwiazd. Zarządzał tym gwiazdozbiorem Piotr Skrzynecki, mag, czarodziej, guru. Wiadomo, z gwiazdami łatwo nie jest, gwiazdy najczęściej się odpychają. Nowicki dobrze wiedział co to za robota, podziwiał Piotra, darzył go sympatią i coraz większą przyjaźnią. Ostatnie chwile spędzał Skrzynecki w szpitalu przy ulicy Skawińskiej. Szeferował tam profesor Andrzej Szczeklik, wybitny lekarz, autor książek z dziedziny filozofii medycyny, a przy tym zdeklarowany fan Piwnicy. Skrzynecki był na Skawińskiej nie tylko pacjentem, ale i lokatorem. Miał tam swój pokój, można go było odwiedzać, stamtąd wychodził też często na miasto. Kiedy nastąpiło już to najgorsze, Szczeklik postawił Skrzyneckiemu przed kliniką pomnik. Odejście Piotra to był koniec pewnej epoki. Janek nie chciał się z tym faktem pogodzić. Redagowałem „Przekrój”, kiedy powiedział mi, że zaczął pisać do niego listy. Od razu ten towar zarekwirowałem: «Daj to do nas». I tak powstała zaczytywana przez długie tygodnie nowa rubryka. Dla pisma to był dobry interes. Nowicki ze swoim nazwiskiem i aktorskim dorobkiem, przeistoczony w autora intrygował, przyciągał czytelników. Janek od początku był w tym nowym dla siebie rzemiośle dobrym majstrem. Poprzez formę listów do Piotra w rzeczywistości rozmawiał sam ze sobą, dzielił się ze światem swoimi przemyśleniami, odpowiadał na zadawane samemu sobie pytania, zwierzał się ze swoich marzeń, radości i smutków. Przez publikowanie w wielonakładowym tygodniku, szybko stał się popularny w tej swojej nowej roli, dostawał skrzydeł, rozsmakował się w tej robocie. W publicznych wystąpieniach, licznych wywiadach, coraz częściej krytycznie wypowiadał się o zawodzie aktorskim, z czułością za to mówił o pisaniu. Z tej „Przekrojowej” rubryki zrodziła się książka Dwaj panowie. I to był pierwszy krok na nowej drodze.

Ale potem stało się coś jeszcze. Autor odważył się namówić Piotra, aby teraz to on pisał do niego listy z nieba na ziemię. To już był przemyślany chwyt literacki. A o wszystkim co dzieje się na tamtych dalekich metafizycznych wysokościach i tym razem pierwszy donosił na swych łamach „Przekrój”. Widać było, że tu już zaczyna pachnieć literaturą i to subtelnie wysmakowaną, w stylu realizmu magicznego. Ta kolejna książka nosi tytuł Między niebem, a ziemią. I to był ten prawdziwy początek pisarskiej drogi Janka. Autor podarował mi egzemplarz i wypisał na nim dedykację, którą bardzo sobie cenię: „Mietku kochany – przecież ta książka także dzięki Tobie. Dziękuję. Janek Nowicki. 2000 rok Kraków.” Trzymam teraz tę książkę na półce z literaturą piękną. Po tej pozycji zaczęły się sypać kolejne tytuły.

fot. archiwum

Leszek Długosz

Na Capri



fot: Szelega

Zdarzyło się na Capri
- Jesienią niespodzianie wczesną porą
Kiedym wspinaczką utrudzony
Do ruin pnąc się Tyberiusza
- Spłoszony deszczu, wiatru skrzydłem nagłym
Zdarzyło się, żem zbłądził

I tak w ustroniu - wśród skał i morza
I pośród chmur inwazji nieoczekiwanej
Zdarzyło się żem przed gospodą stanął
- Domem w okolicy sławnym

Tam - Typ, gospodarz
(Ach człek zaiste nader oryginalny)
Przygodnych gości wita
Winem włącznie stąd - lokalnym
I muzyką ze wszystkich pewnie oper świata
(Wyłącznie i nieodwołalnie)

Słuchałem na balkonie
Dziwnego domu - gołębnika
Gdzie z okien jak gołębie
Coraz to inne wyfruwały arie
Słuchałem smutnych dziejów Traviaty
I głosu Callas (obu naraz)
- *Povera donna, sola, abbandonata*
Myślałem – d z i w n e ...
I dziwne mi się zdały
- Bardziej niż dom gospodarz
Jesień tak niespodziewana
Dzieje i sprawy jeszcze inne...
Bo Ona tam – Śpiewaczka
W Egejskim Morzu, garść popiołu
Od kiedy morskim jest żywiołem?
A tu się płyta kręci
Tu – los Traviaty się powtarza
I głos co został
Tutaj – w zaułkach skalnych, ponad wodą
Krażąc / u w życiu dalej mając azyl /
Nie operowo
Realnie się uskarżał
- *Povera donna, sola, abbandonata*
A co na polski się wyklada:
Biedna , sama, opuszczona
- Na scenach życia i na scenach świata...

GALERIA PORTRETÓW cz.137

Zbigniew Pilch



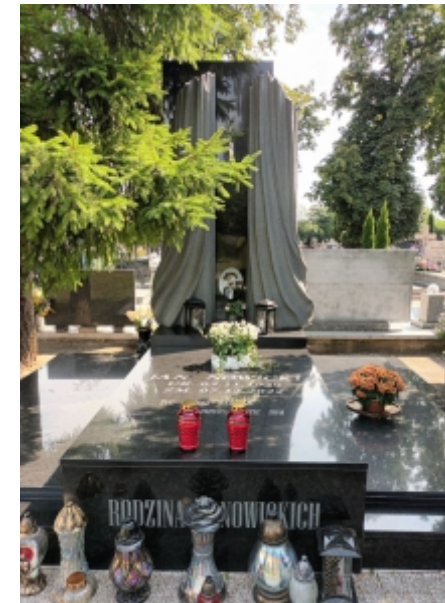
Henryk Tomasz Kaiser

POMNIKI

Ewa Demarczyk



Jan Nowicki



Wiesław Dymny



Piotr Skrzynecki



fot. B. Kucharek, K. Maślak

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

Premiera listopada

LILLA WENEDA Juliusza SŁOWACKIEGO



foto: archiwum

Reżyseria i układ tekstu: Krystyna SKUSZANKA

Premiera : Teatr im. Słowackiego - Kraków - 17 listopada 1973

* * *

Hołd Skuszanke dla swego idola

Upominając się o miejsce Krystyny Skuszanke [1924-2011] w Panteonie Polskiego Teatru przypominać nie tylko trzeba, że jej pasja, talent i zaangażowanie budowały wielkość scen krakowskich przez nią kierowanych wraz z mężem Jerzym Krasowskim przez prawie dwie znaczące w rozwoju polskiej sztuki scenicznej dekady [Teatr Ludowy w Nowej Hucie -1955-1963 , Teatr imienia Słowackiego -1972-1983].

Pamiętać też warto, że Skuszanke zawsze poruszała nas do głębi prezentacją polskich dylematów naszego narodowego trwania przez bardzo odważne i twórcze czytanie dramatów Juliusza Słowackiego.

Tak było w Nowej Hucie, kiedy to - wbrew utrwalonej tradycji - prezentowała najpierw "Balladynę" [1957], a potem "Sen srebrny Salomei"[1959].

Tak było też w roku 1973, kiedy to na reżyserskim warsztacie Skuszanke zagościła już na deskach Teatru imienia Słowackiego niezbyt popularna i niedoceniona ani przez Słowackiego współczesnych, ani przez cały polski teatr na przestrzeni prawie dwóch następujących wieków, "Lilla Weneda"[1840]. A przecież Słowacki napisał ten dramat po pieśniach "Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu [1836-1839]" i po "Beniowskim" [1839] czyli w okresie, w którym nasz poetycki Wieszcz formułował w swych poematach dygresyjnych najbardziej okrutne oskarżenia pod adresem własnych rodaków. Wiedzą coś o tym uczniowie, którzy musieli wkuwać na pamięć jedną z pieśni "Podróży..." czyli "Grób Agamemnona"[1839]

Najlepiej sformułowała swoje zamierzenie z roku 1973 sama Skuszanke w opublikowanych w programie do przedstawienia "Notatkach reżyserskich":

< "Lilla Weneda" przeczytana przez strofy "Grobu Agamemnona"(...) objawia się jako dramat gorzki, ironiczny, a nawet sarkastyczny. Jest w niej dużo gniewu, a nawet bezsilnej rozpacz."Lilla Weneda" wydaje się [bowiem] próbą analizy umysłu Polaków (...) Dwoistość polskiej natury - to źródło tragizmu, ale i komizmu [jednocześnie].

[To bytowanie] między niedołaństwem a bohaterstwem, [...] między nikiemznością a wzniosłością, okrucieństwem a tkliwą dobrocią, brutalnością a wyczulonym smakiem, bezmyślnością i głębokością myślenia. Nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać! [Jednym słowem:] "Lilla Weneda" czyli Polacy!!>

Zgodnie z taką interpretacją Skuszanke ten archaiczno- historyczny dramat, przywołujący prasłowiański mit o narodzinach Polski drogą krwawego plemiennego podboju postanowiła <zainscenizować> w scenerii paryskiego emigracyjnego salonu, by stał się on - zgodnie z autorską intencją - tragifarsą świadomości i podświadomości pokolenia polskich emigrantów tak samo skłóconych ze sobą, jak ich mityczni protoplaści, przerażający, a jednocześnie śmieszni w swoim <okrucieństwie>. Dlatego - po półwieczu tej premiery - zaryzykuję najkrótszą, ale najbardziej bliską i Słowackiemu, i Skuszanke definicję tego dramatu : "Lilla Weneda" to romantyczny "Król Ubu" Jarry'ego, czytany na dodatek przez reżysera paradoksami uogólnień Gombrowiczowskich "Dzienników".

Wytrawna aktorska obsada zrozumiała te reżyserskie intencje znakomicie, a najlepiej swoje wątki myślowego przewodu Skuszanke poprowadzili: Halina Gryglaszewska jako Gwinona, okrutna żona Lecha, stylizowana na polską Lady Makbet i Wojciech Ziętarski jako Śláz - typowy polski oszust w mniszych szatach. Stąd ich kreacje pozostały mi w pamięci, przypominając o najważniejszym teatralnym hołdzie Skuszanke dla ukochanego przez nią Słowackiego.

Ignacy S. Fiut

Ulica Kanonicza

obojętność ulicznej gawiedzi
zżera tynki i gzymsy jak trąd
kamieni pomarszczonych miarą
czasu...

z wylupionymi oknami patrzą posępnie
na bruk ulicy jęcząc cicho zagubionymi
echami dziejów...
na obolałych murach
słońce odsłania minioną
pajęczynę świetności
zafrasowane bramy
zamilkły pod kluczem
sprawiedliwy księżyc
nad ich dachami
rozwinie fioletową
poświatę wstydu
kiedy miasto zaśnie



foto: archiwum

Z tomiku „Moja Samotrake”



fot. B. Zimowski

Andrzej Matusiak MÓJ DAWNY KRAKÓW MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA *na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach” (119)*

Katedra Wawelska cz. 16

Kolejną katedralną kaplicą biskupią jest kaplica biskupa Zadzika pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Powstała ona w XIV w., a po 1515 r. stała się kaplicą grobową Andrzeja Kościeleckiego (1455 – 1515) podskarbiego koronnego, możnowładcy i zaufanego urzędnika króla Zygmunta Starego – stąd kaplica nazywana jest też „Kościeleckich”. W 1642 r. w kaplicy został pochowany kanclerz wielki i sekretarz wielki koronny, biskup krakowski Jakub Zadzik (1582 – 1642), który zostawił 5000 florenów na przebudowę kaplicy, zakończoną w 1647 r. Budowę kaplicy i jej wnętrze, przypisuje się z zastrzeżeniami (Michał Rożek) włoskiemu rzeźbiarzowi Sebastianowi Sali (1587-1653), który jest też twórcą ozdobnych bramek w ogrodzeniu katedry wawelskiej i przebudowy pałacu w Łobzowie. Kwadratowa budowla kaplicy z dużym oknem, nakryta jest kopułą z miedzianą blachą i latarnią z okienkami, zwieńczoną połączoną kulą z krzyżem. Wnętrze, do którego wchodzi się przez barokowy portal z ozdobną kratą z brązu, ma kształt baldachimowego cyborium ze ścianami wyłożonymi czarnymi i różowymi marmurami oraz alabastrowymi elementami i rzeźbami. Bogaty wewnętrzny wygląd czaszy kopuły, stanowi dekoracja stiukowo – malarska, gdzie na czterech polach namalowano epizody z życia św. Jana Chrzciciela. Na wschodniej ścianie kaplicy umieszczony jest ołtarz z czarnego marmuru i alabastru, przedstawiony na

załączonej fotografii. Znajduje się w nim obraz autorstwa Wojciecha Stattlera z 1834 r. p.t. Chrzest Chrystusa, na którym św. Jan ma twarz Adama Mickiewicza. Przeciwległą ścianę zdobi nagrobkowy pomnik bpa Jakuba Zadzika, w którego niszy znajduje się popiersie biskupa z brązu. Kaplica po jej wybudowaniu, stała się w XVII i XVIII w. swoistą królewską garderobą, w której koronowani polscy królowie, przebierali się w szaty koronacyjne. Zaslugą bpa J.Zadzika jest wybudowanie okazałego barokowego pałacu biskupów krakowskich w Kielcach, w którym obecnie jest kielecka siedziba Muzeum Narodowego. Natomiast w Krakowie za pieniądze ze spadku po biskupie, jego siostra Teresa Zadzik przełożona zakonu Sióstr Bernardynek, wybudowała nową siedzibę klasztoru i kościół p.w. św. Józefa przy ul. Poselskiej.

ołtarz w kaplicy bpa J.Zadzika



fot. B. Zimowski

Ryszard Łukowski

JULO (cz. 3)

Wspaniały aktor ze Starego Zespołu teatru

Miał wymowę ze specyficznym naciskiem na s i c, mawiał: posłuchaj szyneczku.

Frankfurt

Julo bezustannie mówił o konieczności stosowania afrodyzjaków. Muszę szyneczku bezwzględnie zdobyć tę cudowną maść.

Szliśmy Kaiserstrasse, z niezliczonych porno i sexshopów wybrałem najbardziej kolorowy i powiedziałem:

- teraz albo nigdy Julo

Piękna brunetka wybrała stosowną tubkę ...bitte

- das isszt gut? – zapytał Julo

- sehr..sehr.. - odpowiedziała

Następnego dnia Julo zniesmaczony powiedział – to szyneczku kompletnie nie działa.

A czy zastosowałaś się do instrukcji? tę maść powinna rozsmarować delikatnie opuszkami ta piękna brunetka.

Na koniec ulubiona dykteryjka Jula, trochę seksistowska, ale signum temporis:

śmiała się żaba z żółwia

że w skorupie siedział

a żółw jej na to tak odpowiedział

chuj ci w dupę i zatrasnął skorupę

Wiesz Rikitikitawi sządzę że niedługo umrę...

- nie opowiadaj bzdur, masz jeszcze czas..,

- ale szyneczku wydaje mi się że nie mam czasu.

Zmarł niedługo po tej rozmowie 20 maja 2000 roku

Bronisław Maj

Kraków - miasto poemat



fot. M. Lepecki

A teraz o Krakowie. Co sprawia, że Kraków jest rzeczywiście (co do tego wszyscy, którzy tu w Krakowie mieszkamy i myślę, że i nasi hiszpańscy przyjaciele, którzy są w nim chociaż jeden dzień będą zgodni) takim przedziwnym miastem, miastem i poetów i poezji? Oczywiście przesądza o tym w pewnym sensie jego niezwykle piękno, jego uroda, przesądza o tym także nieustannie na każdym kroku obecna, żywa, dotykalna niemalże, tradycja, historia, przeszłość. Duchy przeszłości, tutaj są słyszalne i niemal widzialne. Przesądza także pewna intelektualna, duchowa aura niewielkiego w gruncie rzeczy uniwersyteckiego miasta.

Przesądza wreszcie jakiś tajemniczy (i nie chce go do końca nazywać i nawet nie potrafiłbym na szczęście) pewien urok Krakowa.

Tu jest jeden z czakramów ziemi, tu jest jakieś przedziwne, magiczne miejsce. Każdy z tych elementów wystarczyłby już zapewne, by Kraków mógł być takim miastem poetów.

Ale one są tutaj wszystkie razem skumulowane, chociaż to jeszcze chyba nie tłumaczy tego przedziwnego fenomenu. Zapytajmy dlaczego to miasto jest miastem poezji, dlaczego jest miastem poematem?, jak pozwoliłem sobie go w tytule tej mojej opowieści nazwać. Gdyby chciał się zastanowić, czym jest poezja (oczywiście proszę bez paniki, proszę państwa, nie będę się starał dać tutaj definicji poezji, tak daleko i tak brawurowo się nie posunę w absurdzie), ale zapewne zgodzimy się wszyscy co do tego, że poezję da się opisać szeregiem paradoksów i niektóre z nich to takie (i co do tego pewnie będziemy również zgodni), że poezja i wiersz to też ważne.

Poezja i wiersz rozpięte są pomiędzy rygiem i marzeniem, pomiędzy regułą, porządkiem i tajemnicą, pomiędzy ścisłością formy, a nieograniczoną wolnością.

I Kraków urzeczywistnia, wciela w sobie, w swojej materii miasta, w jego substancji, te przeciwstawne zupełnie niekiedy bieguny.

Łączy je w zdumiewający sposób, można powiedzieć, że Kraków, miasto Kraków jest idealnym poematem (bo jeśli spojrzeć na Kraków z góry, z lotu ptaka, a wyobraźmy sobie to przez chwilę - jesteśmy poetami, możemy to łatwo uczynić). To Kraków, miasto Kraków wciela ten jeden biegun, tę ideę porządku, sensu i centrum.

To jest zapewne dziecinne, zuchwałe, nieziszczalne marzenie poetów by zawrzeć w wierszu formułę świata, ująć w syntetycznym zapisie cały sens świata. I oto Kraków, nie w słowie, nie w liniach wiersza, coś takiego czyni. Kraków spełnia to marzenie poety by dać taki wiersz, który będzie wzorem formułą świata, formułą czystą, klarowną, nie wzruszoną, niepodważalną i jednocześnie oczywistą dla każdego.

Kraków jest właśnie takim poematem. Jeśli bowiem spojrzeć na Kraków z góry, to widać, że rynek jest tym centrum nie tylko miasta, ale i centrum świata. To jest środek świata.

I jeśli spojrzeć na ulice, które z tego rynku wychodzą, to wydaje się (tak i znowu bądźmy na chwilę poetami), że to nie świat i jego kierunki geograficzne wyznaczają porządek tych ulic,

ale że jest odwrotnie: rynek naznacza centrum świata.

Ulica Mikołajska wyznacza kierunek wschodni, Grodzka, południowy, Szewska, zachodni, Floriańska, północny. To miasto, centrum i jego ulice, wyznaczają kierunki stron świata. Nadają sens światu, nadają mu ten ścisły, porządek i ten ścisły rygor. Miasto ustanawia porządek świata, a nie odwrotnie. To miasto jest wzorem czystym, precyzyjnym, zwięzłym, doskonałym jak wiersz.

I w gruncie rzeczy jest wierszem, jest wierszem tak precyzyjnym, wyrafinowanym i pełnym rygorów jak wiersz Luisa de Góngory i jak wiersz Tadeusza Peipera.

Ale jest i ten drugi biegun, który również Kraków w przedziwny sposób ucieleśnia, biegun tajemnicy. To co jest po przeciwległej stronie owego rygoru, ścisłości i sensu. Jeśli bowiem spojrzeć dalej, nadal z owego lotu ptaka, to widać, że tuż za rynkiem te uliczki, które wyznaczały kierunki świata, nagle płaczą się, nagle nie są już ulicami prostymi. Są zawiłe, kapryśne, tajemnicze, swobodne. Tworzą to co jest obrazem tajemnicy, czyli labirynt. Z jednej strony rygor, z drugiej strony tajemnica ucieleśniona właśnie w miejskim labiryncie. Ten labirynt jest też jak wiersz, jest jak swobodny, kapryśny, wolny, muzyczny wiersz Federico Garcii Lorcy, czy wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

c. d. n.

Wykład w ramach konferencji „Barcelona i Kraków - wizje zmian” - MCK 2007

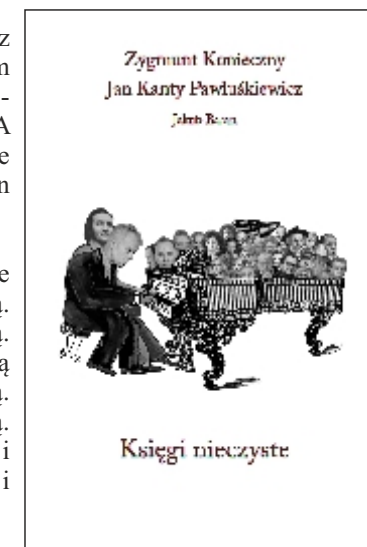
Transkrypcja z nagrania dźwiękowego

Poza ZVIS'em:

Na szczęśliwy koniec roku, zapowiedziana jest przez wydawnictwo Austeria, książka będąca zapisem rozmów dwóch wybitnych kompozytorów - ZYGMUNTA KONIECZNEGO i JANA KANTEGO PAWLUŚKIEWICZA. Ilustracje przygotowuje piwniczny rysownik - Sebastian Kudas.

„A co oni nam dają teraz? Ci dwaj giganci, te dwie gwiazdy olśniewające i oświecające? Oni - gadają. Głędzą. Marudzą. Nudzą. Kłócą się. Przekrzykują. Poprawiają się wzajem. Powtarzają. Zaprzeczają sobie samym. Rozśmieszają siebie i nas. Smęcą. Zaskakują. Zdumiewają. Zaciemniają. Odkrywają. Słowem - gadka szmatka. Ale - paradoksalnie i cudownie - na tym także polega niezwykła wartość i uroda tej niepospolitej książki.”

Bronisław Maj



Tadeusz Nyczek

Salon Niezależnych

Fenomenu „Salonu” nie jest wstanie zrozumieć nikt, kto nie widział na żywo Kleyffa, Tarkowskiego i Weissa.

„Salonu” też nie da się porównać, bo nie ma do czego. Był to owszem, kabaret studencki i zapewne sporo jego cech można by odnaleźć w duchu i w formie jakiegokolwiek współczesnego kabaretu studenckiego. Ale „Salon” daleko przekroczył konwencje studenckie. Nie był przecież także kabaretem profesjonalnym. Więc co z tym „Salonem”.....,

.. Nie był to kabaret elegancki. „Salon” nie miał formy nie miał wdzięku, szarmu, nie był przyjemny. Teksty mogły drażnić ucho i zmysł estetyki. Wykonawcy śpiewali zbyt często obok albo w poprzek tonacji. Był to, uczciwszy uszy, kabaret po prostu brzydki; nie zachęcający do kumania się na płaszczyźnie artystycznej.

Miał jedną broń piorunującą, niezwykłość poetyki humoru. Coś w rodzaju absurdu posuniętego do paranoi. Z bełkotu jako jednego z agresywnych języków rzeczywistości uczynili zasadę, także na scenie. Demaskowali tym samym bełkot powszechniejszy. Wyśmiewanki z radia, prasy i telewizji stanowiły jednak tylko część programu. Byli jakoś podobni w tych językowych pasjach, na przykład do poetów-lingwistów, swoich rówieśników, Barańczaka, Krynickiego, Szarugi. Cieszyło ich wyłamywanie zębów językowi, bo w ten sposób prowokowali świadomość. Z czasem „Salon” stawał się mniej kabaretem, a bardziej miejscem wypowiedzi trzech mężczyzn przed trzydziestką. Forma tych wypowiedzi zbyt nachalnie zaczęła wychodzić z formy. Mówili serio wiersze. Śpiewali o cenzurze. Scenki aktorskie przestawały być aktorskie, zmieniały się w manifestacje umęczonych osobowości. Było to jeszcze śmieszne, ale wszystkimi szwami wychodziła bezradność ludzi coraz jaśniej zdających sobie sprawę z rozpadu rzeczywistości.

Stawali się niebezpieczni, bo zbyt ludzcy. Ponadto zbyt słabymi byli aktorami, by skutecznie umieć ukrywać prawdziwe myśli. To się dawało wyczuć. Nawet zupełne tępaki na widowni mogły to zrozumieć. A co dopiero funkcjonariusze, także ci od kultury. „Salon” był za popularny, mógł naprawdę zaszkodzić, zarazić „złym wpływem”. Zrobiono wszystko, żeby go ukatrupić.

Nie wiem czy dziś żał mi, że nie ma „Salonu”. Chyba i tak nie istniałby długo. Rozsadziłby się od środka. Albo musiał by się nauczyć aktorstwa. Byłby to koniec „Salonu”, ale koniec inny, chyba gorszy. Naprawdę, kto nie widział na własne oczy „Salonu”, ten nie wie nic....

Zostały nagrania, oficjalne i nielegalne, zawodowe i amatorskie. Każde inne - nawet jeśli dotyczyły tego samego programu, tych samych piosenek. Bo był to kabaret żywy jak diabeł, czyli zmienny jak samo życie, jak samopoczucie. To się wyczuwa nawet słuchając martwych taśm. Dlatego warto ich słuchać, bo są świadectwem czegoś więcej niż napisanych niegdyś słów i nut.

fragment eseju p.t. „Poza konwencją”



rys: A. Mleczko

Jacek Kleyff

„Totalizator B.H.P 1969”

Uwaga! podajemy wyniki totalizatora B.H.P higieny pracy. A oto wylosowane w dniu dzisiejszym dyscypliny:

- nr 6 - spłaszczenie ręki przy pomocy wałków drukarskich systemu Baden-Baden
- nr 14 - nagwintowanie palca wskazującego prawej ręki gwintem dwuniciowym 16 mm PN. 679/384 Fh 729/ 4 25
- nr 18 - momentalne spłaszczenie twarzy prasą Springera
- nr 21 - skrzywienie stosu pacierzowego na giętarcie stali zbrojeniowej niskołamiwej w fazie obróbki
- nr 27 - wkręcenie warkocza wraz z nawinięciem tułowia na bęben transmisyjny systemu WZRK z działaniem samoczynnym, opóźnionym
- nr 32 - zabezpieczenie zwieracza odbytu na stałe, doznane na skutek bezpośredniego kontaktu ze stygnącym profilem dwuteowym walcowanym
- nr 34 - szpagat rozdarty doznany na skutek ugrzęźnięcia obuwia roboczego, w dwóch wagonach na niespodziewanym rozwidleniu trakcji kolejowej oraz dyscyplina dodatkowa wraz z numerem banderoli, coś z roli
- nr 41 - nieumyślne zaoranie twarzy pod siew ozimy zbóż jarych.

Odeszli od nas



**KOCHAJCIE ARTYSTÓW. NIE ZŁOŚCIE SIĘ NA NICH...
KIEDY ICH ZABRAKNIE JEST PUSTKA, GASNĄ ŚWIATŁA**



Jacek Lubart Krzysica



Adam Kawa



Jan Nowicki



Aleksander Rozenfeld



Andrzej Dyga

Piotr Bartula

Cmentarzysko Filozofów (epitafia II)



fort. B. Zimowski

Sokrates: A jednak uciekłem! Do hadesu artystów, intelektualistów i wolnomyślicieli.

Arystyp z Cyreny: Tu leży człowiek jednorazowego użytku. Ty też nim jesteś.

Stanisław Ignacy Witkiewicz: Przychodźcie na grób Nieczuja, który bawi się z wami w chowanego. Ha ha ha.

Oswald Spengler: Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Zachodu. Byłem tylko jego umierającym kronikarzem.

Alfred Tarski: Tu leży suma anatomiczna moich części.

Czyli zbiór pusty.

Aureliusz Augustyn z Hippony: Odszedłem do wieczności z zegarkiem na dłoni. Jego tykanie słycać w państwie ziemskim.

Tomasz z Akwinu: Moim powołaniem było pisanie. Stalówka wiecznego pióra zeszcła przy 34 tomie Summy teologicznej.

René Descartes: Korekta do Rozprawy o metodzie: Śmierć jest to rzecz ze wszystkich najlepiej podzielona.

Immanuel Kant: Kochani, zostawiam Wam niebo gwieździste, lecz prawo moralne zabieram do grobu. Jesteście wolni, możecie iść.

Jean-Paul Charles Aymard Sartre: Tu leży Esencja mojej Ex-Istencji.

Georg Wilhelm Friedrich Hegel: Zmarłem, bo ukąsił mnie Rozum Historii. Tłumaczył, że zrobił to z konieczności.

August Cieszkowski: Tuż przed śmiercią miałem objawienie, że najważniejsze jest nawożenie gleby. I szkoła rolnicza w Poznaniu.

Karol Marks: Tak zmieniłem świat, że do dzisiaj musicie interpretować moje zwłoki.

Widmo równości nigdy was nie opuści.

Arthur Schopenhauer: Kiedy umierałem, towarzyszył mi ostatni krzyk wolnej woli. I szczekanie psa.

Marek Aureliusz: Smutna jest historia śmierci. Ona też przemija.

Henry David Thoreau: Pytasz: dlaczego leżę w grobie? A ja pytam: dlaczego ty jeszcze tu nie leżysz?

Piotr Bartula: Tulił się do Baru (Zvis 1987-2004)

Napisy ryl Grabarz z Krakowa. Milego dzionka! (cdn.)

Andrzej Kozioł

Fotoratury pana Karasia

Przechodząc ulicą Szewską, należało zatrzymać się przed kamienicą nr 12. Tam, w domu należącym do zegarmistrza Płonki, mieściła się pracownia fotograficzna Adama Karasia.

W mrowiu legitymacyjnych zdjęć, wśród upozowanych fotografii gabinetowego formatu, wisiały maturalne tableaux. Jednak przed panakarasiową witryną nie zatrzymywano się, aby oglądać ten powszedni fotograficzny banał.

Nad nocnym Krakowem unosiły się w niej wielkie oczy, a napis na fotografii głosił: „Miasto śpi, ja szukam ciebie”. Mały piesek wyznawał: „Też się za tobą”. Pod sentencją „Lata przemina, młodość na fotografii pozostanie” uśmiechała się warkoczowa blondynka. A wewnątrz, w atelier, niczym koza na obrazie Chagalla, fruwał sam pan Karaś, a może jego brat, Wiktor, współwłaściciel wytwórni filmowej, efemerydy „Bracia Karaś”.

Oglądając fotomontaże, nazywane przez niego fotoraturami, spieraliśmy się, czy pan Karaś jest Nikiforem, czy też raczej Chagallem fotografii. Jednak najdziwniejszy był sposób fotografowania uprawiany przez fotografa z Szewskiej.

Atelier mieściło się w mrocznym, mieszkaniu, jego wyposażenie już wtedy wyglądało wręcz muzealnie. Pan Karaś usadzał klienta, odpowiednio go oświetlał – i zaczynało się! Ruszał adapter, a mistrz zaczynał mówić. Każdemu serwował inną melodię, inną, zawsze dramatyczną, opowieść. Kiedy głos pana Karasia wspiął się na wyżyny dramaturgii, trzaskała migawka...

Był też pan Adam gawędziarzem. Przy szarlotce długo opowiadał mi o swoim życiu. O butach Baty, w czasie inflacji uciekających w niedostępną dla niego cenę. O zdjęciach Niemców, dostarczanych podziemiem. I o benedyktynce, popijanej z przyjacielem na początku okupacji. Tak bardzo się w niej rozsmakowali, że aż gość spóźnił się na wykład w Collegium Novum. Kiedy przyszedł, ciężarówka z aresztowanymi naukowcami już odjechała. Dowodzi to – twierdził pan Adam – że nigdy nie należy wstawać od stołu, dopóki w butelkach znajduje się przynajmniej jedna kropla...



fort. B. Kucharek

Jan Woleński

GENDER I NABÓR NA STUDIA



foto. B. Zimowski

Opowiem o dwóch epizodach, związanych z egzaminami wstępnymi na studia prawnicze w UJ. Oba dotyczyły dziewcząt i zdarzyły się w komisjach, w których uczestniczyłem jako egzaminator. Przewodniczącym jednej z nich był prof. Michał Patkaniowski, wykładający powszechną historię państwa i prawa na I roku studiów prawniczych. Był łagodnym egzaminatorem, zwłaszcza w ramach tzw. egzaminów przedterminowych, tj. zdawanych jeszcze przed oficjalną sesją egzaminacyjną. Był jednak przeciwny feminizacji zawodów prawniczych, i gdy w latach 1960-tych, wprowadzono tzw. punkty za pochodzenie, powiedział do nas (członków komisji, której przewodniczył) „Panowie, trzeba dawać dodatkowe punkty za spodnie” (dziewczyny wtedy nie ubierały tego rodzaju garderoby idąc na egzamin). Trudno powiedzieć, czy było to na serio czy żartem, ale gender, by użyć, dzisiejszego popularnego terminu, nie miał większego znaczenia dla wyników „wstępniaka”. Nie ma też, co ukrywać, że dziewcząt było coraz więcej na studiach prawniczych.

Bywało, że niewieścia uroda była ważna. Prof. Jan Gwiazdomorski był typowym krakowskim konserwatystą. Wykładał prawo cywilne, przede wszystkim tzw. część ogólną (przedmiot na III r. studiów, w cyklu pięcioletnim) i prawo rodzinne na IV r. Był surowym egzaminatorem i zaliczenie u niego przedmiotu było nie lada osiągnięciem. Z upodobaniem cytował Fryderyka Zolla młodszego (dziadka Andrzeja Zolla), zwłaszcza jego dość skomplikowaną i długą definicję pojęcia zobowiązania. Miał też wyjątkowo wysokie poczucie profesorskiej godności. Raz ktoś do niego powiedział „Panie Dziekanie” (tak zwracano się do osób, które kiedyś piastowały to zaszczytne stanowisko). Gwiazdomorski odpowiedział „E tam, proszę do mnie zwracać się per panie profesorze, bo dziekanem może być i docent”. Zdarzyło się, że egzamin wstępny zdawała bardzo ładna kandydatka z inteligentnej rodziny, a więc nie była premiowana punktami za pochodzenie. Sekretarzem komisji był Gwidon Rysiak, adiunkt w Katedrze Prawa Międzynarodowego. Widząc, że dziewczynie może zabraknąć punktów do dostania się na studia (zdała z wynikiem dobrym, ale to nie gwarantowało sukcesu), zdobył się na odwagę i powiedział „Panie Profesorze, ale jakie ona ma nogi?”. Gwiazdomorski uniósł głowę i rzekł „Panie Kolego, a co, czyżby Pan sądził, że nie zauważyłem tego?”. Dziewczyna dostała się.

Henryk Cebula - grafiki:



Galeria Vis á Vis:

Krzysztof Zieliński (kafel)
- wystawa fotografii „Moja perspektywa”



Lesław Pizło

Inne pomniki



fol. B. Kańska - Bielak

Pomniki wznosimy dla upamiętnienia czegoś lub kogoś. Czasem ku większej chwale, niekiedy ku przestrodze. Inne skłaniają do zadumy czy refleksji. Bywa też że są wznieszone dla zaspokojenia miłości własnej lub miłości do kogoś. Pycha też bywa powodem takich inicjatyw. Są pomniki ładne i brzydkie. Potrzebne i zupełnie zbędne. Osobnym rodzajem pomników są święta. Ich zadaniem jest przypomnienie czegoś lub kogoś, oddanie hołdu czy zmanifestowanie. Zatem mamy święta państwowe, religijne i nietypowe. Te ostatnie są stosunkowo młode, a ostatnimi czasy nastąpił tak gwałtowny ich wysyp, że dni w kalendarzu nie starczą. Zdarza się po kilka jednego dnia. Ale żeby być sprawiedliwym muszę do mojej wyliczanki dodać kilka następujących cech wyróżniających owe święta. Wśród nich natknijemy się na poważne i potrzebne – jak na przykład 16 XI Dzień Życzliwości, czy pięć dni później Światowy Dzień Zapobiegania Przemocy Wobec Dzieci. Równocześnie mamy dziwaczne i ekscentryczne, niczemu nie służące. 10 V przypada Światowy Dzień Jazdy Nago Na Rowerze, a 29 tegoż miesiąca Dzień Świadomości Wydry. Przykładem święta które niczemu nie służy jest obchodzony 10 V Światowy Dzień Robienia Na Drutach w Miejscu Publicznym.

Przeglądając wykaz, z którego zaczerpnąłem przykłady, natknąłem się na wyznaczony na 14 czerwca Dzień Dziennikarza Obywatelskiego. Słyszałem o różnych inicjatywach obywatelskich często bardzo doniosłych, ale o dziennikarstwie tego rodzaju ? Nigdy! Dzwonię zatem do naszego kolegi Zbigniewa Bajki, no bo kto jak nie on może mnie oświecić. Wreszcie całe życie babrał się w tej materii. I to naukowo. Niestety nie odbiera. Pewnie jest na polowaniu pomyślałem i rzuciłem się do gmerania w przepastnych czeluściach internetu. Jest ! Otóż, Dziennikarz Obywatelski to osoba, która opisuje świat w interesie społecznym. I to za darmo, zapomnieli dopisać pomyślałem. No to przecież pasuje do nas. Do tworzących naszą gazetkę. Zapamiętajmy 14 VI – nasze święto.

Pokażna grupa różnych zwierzątek też ma swoje święta. Zapewne u podłoża szlachetnej intencji jest zwrócenie uwagi na potrzeby naszych braci mniejszych. I słusznie. Pamiętajmy o jeżach nie tylko w dniu ich święta 10 XI, czy o pszczołach 8 VII Ale zupełnie nie widzę powodu aby 20 VII świętować Dzień Komara, czy też Bielinka Kapustnika 30 VII. Wśród setek dni jest jedna noc. 25 lipca przypada Międzynarodowa Noc Nietoperzy. Wiem, że te miłe zwierzątka nie cieszą się ogólną sympatią, ale zupełnie bezzasadnie. Wszystkim niechętnym przypominam, że taki jeden w ciągu nocy wyłapuje tysięcy komarów.

Niektóre ze świąt wymagają doprecyzowania. Bo na przykład nie mam nic przeciwko Dniu Bałwana 18 I. Ale takiego śnieżnego z marchewkowym nosem i życzliwym spojrzeniem węgielkowych oczek. Natomiast stanowczo wypraszam sobie jakiegokolwiek świętowanie tych dwunożnych. Chyba że chodzi o skłonienie do czujności, o ostrzeżenie przed czyhającym zewsząd niebezpieczeństwem.

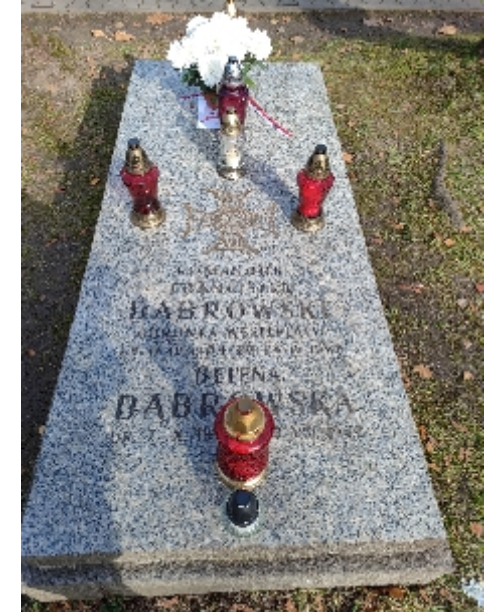
19 XI Dzień Toalet. I znów nie wiem. Nie mam nic przeciwko pięknym damom okrytych wytworną konfekcją zwaną toaletą. Nawet powiedziałbym nieskromnie, że jestem ich miłośnikiem. Podobnie jestem zwolennikiem czystych, pachnących i powszechnie dostępnych wychodków, również nie wiadomo czemu, nazywanych toaletami. Więc pełna aprobata, ale chciałbym wiedzieć co świętuję.

Wątpliwości mam więcej. Dlaczego jedne dni są światowe, inne międzynarodowe a jeszcze inne zwykłe? Kto i z czyjej inicjatywy powołuje takie święta? Kto się nimi przejmuje? Wesołych świąt.

POMNIKI WESTERPLATCZYKÓW



Lekarz z Westerplatte
Major Mieczysław Słaby



Komandor Franciszek Dąbrowski

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr. 105



fot. N. Pazdej

Tak się to zaczęło. Trzydzieści lat temu powstało samodzielne państwo słowackie. Wiem coś o tym, bo aktywnie w tym uczestniczyłem – pomogłem zdobyć po podziale reprezentacyjny budynek na Litewskiej, gdzie mieści się nasza ambasada, zdobyłem miejsce na Instytut Słowacki prawie w centrum Starówki w Warszawie i zacząłem realizować programy, kiedy jeszcze budynek był w rekonstrukcji. Powoli budowano sieć Konsulatów Honorowych. Piętnaście lat później utworzono Konsulat Honorowy Republiki Słowackiej w Zakopanem. Funkcję konsula honorowego powierzono „uznanemu już wówczas na rynkach międzynarodowych nowotarskiemu przedsiębiorcy – Wiesławowi Wojasowi“ – jak doniosła strona internetowa *podhale 24.pl*. Z tej okazji w koordynacji z Euroregionem Tatry gościł w dniach 7-8 października, Konsul Honorowy wraz z małżonką w salach nowotarskiego hotelu Ibis Styles przedstawiciele słowackiej dyplomacji na czele z ambasadorką J.E. Andream Elschekową – Matisovą i Konsulką Generalną RS z Krakowa Złatą Šipošová, przedstawiciele samorządów, byłych dyplomatów i konsulów honorowych RP ze Słowacji i dalszych miłych gości. Spotkanie *Slovensko blisko/Słowacja bliżej*, którego program wspaniale przygotowany – przemówienia, wspomnienia, pierwszy słowacki film pełnometrażowy - Janosik z 1921 roku, występ Tria Julii Masnicovej z jej śpiewem. Spotkanie pokazało rzeczywistą bliskość, działalność konsulatu honorowego, współpracę samorządów po obu stronach granicy, której wyniki widać gołym okiem. Uzupełnieniem były dwie wystawy fotograficzne – *Słowacja bliżej*, Iwony Dworskiej w hotelu i w siedzibie Euroregionu Tatry – *Did you know? This is Slovakia*, gdzie uczestników spotkania gościł Bogusław Waksmudzki, prezes Euroregionu. Na hotelowym parterze można obejrzeć ponad 85-letni samochód marki Tatra od kolekcjonera z Námestova Petra Boleka.

Od czasu do czasu trzeba się zatrzymać, porozmawiać, pomyśleć co było i co nas czeka, powspominać tych, których już nie ma wśród nas, nawiązać nowe kontakty a może i przyjaźnie... dobrze, że w Nowym Targu o tym pamiętają.

Stefan Szlachtycz

FILIPAK, Adieu - cz. 7



fot. archiwum

Nowy dyktator w roli dyrektora, zamienia ospałą placówkę w „Fort Filipowski”. O tym, pięcioletnim okresie krążą jeszcze dziś anegdota/legendy. Przedmiotem szczególnej troski dyrektora jest... alkohol. Nie tylko aktor, ale i każdy pracownik teatru, u którego pojawi się, najslabszy „chuch” (dyrektor wyczuwa to z odległości kilku metrów), otrzymuje jedno ostrzeżenie. Następnym razem wylatuje z pracy, w trybie natychmiastowym. Wszyscy uznani aktorzy odeszli sami, powstał wyselekcjonowany zespół, lepiej może: paczka, narodowo czystych imitatorów Mistrza. Oczywiście jeżdżą konno i śpiewają patriotyczny repertuar. Tworzą rodzaj zakonu. Nie wiem na ile świadomie, może intuicyjnie, RF nawiązuje do ideologii Afroamerykanów i ich pojęcia suprematyzmu? Wcale nie każdy stąd może być Superpolakiem, o tym decyduje ON i reguła Jego Katechizmu. Paradoksem jego filozofii w ramach PRL, jest czerpanie wzorców, wyłącznie z tradycji z Polski szlacheckiej, zero z proletariackiej. Jego konserwatyzm nie uwzględniał postępu technicznego, rozwój jego świata kończył się na... koniu.

Wówczas zdarzyło się, że w jakimś programie TV Kraków, w napisach pojawił się błąd. Zamiast: Filipowski, napis głosił: FILIPAKI. To zostało, jako jego ksywa do końca krakowskich czasów RF. Nie znalazłem wzmianki o żadnym wyróżniającym się spektaklu za jego dyrektury w Teatrze Ludowym. Ale u władz, wciąż był na topie. W '79. przekazuje teatr jednemu ze swoich, sam przerzuca się na film. Po obu stronach kamery, jako scenarzysta, reżyser, producent i aktor. Wciela się teraz w nową postać. Marszałka Józefa Piłsudskiego, któremu przygotowuje nowy życiorys. Zakłada Zespół filmowy „Kraków”, w Łęgu budują mu wytwórnię z halami zdjęciowymi i zapleczem (potem przejęta przez TVP). Realizuje szereg filmów i, podobno zostawia setki metrów niezmontowanego materiału. Jego filmowa twórczość, to „prawdziwsze” odczytanie historii narodowej. Nie wiem, nie widziałem żadnego z jego filmów, są „półkownikami” krótkiej epoki narodowego komunizmu... Mam w niej swój epizod, z udziałem Jego Wyniosłości Ryszarda IV Filipakiego. Wyciągnął mnie albowiem z poważnej opresji, wystawiając świadectwo mojej aryjskości, wbrew zakwalifikowaniu przez Bohdana Porębę.. To był rok '72, nie np. 1942 i nie musiałem rozpinąć spodni... W tym czasie, od decyzji jednego z nich zależało, kto w środowisku filmowo-telewizyjnym jest z pokolenia... Abrahama. Ale, to już temat na oddzielną opowieść

Jerzy Antkowiak

ODWIECZNE PIEŚNI - ODWIECZNE PIĘKNO...

**TYLKO WYBITNI TWÓRCY MOGĄ
SWOBODNIE ZEJŚĆ Z UŚWIĘCONEJ
TRADYCJĄ DROGI PIĘKNA
I OBSZARY EKSPERYMENTU
ZŁOŻYĆ NA OŁTARZU WYOBRAŹNI
TEŻ, TYLKO NIELICZNYM!!!**



foto. archiwumi

Pomysł mam dość szalony, bowiem używając tak mi bliskiego „chaosu twórczego” chcę zilustrować tak najprościej te tytułowe R O Z T E R K I. Ponieważ niespodziewanie byłem, w MIEŚCIE ŁODZI na PREMIERZE WIECZORU BALETOWEGO. Do muzyki KARŁOWICZA, KILARA i SZYMANOWSKIEGO – BALET – SOLIŚCI, KORYFEJE, ZESPÓŁ – tańczyli do pięknej, ale nie łatwej muzyki. TANCZYLI PIĘKNIE i o tym napiszę za miesiąc i nie bez powodu. Wybieram się „z niezapowiedzianą wizytą” do SZEFOSTWA MAZOWSZAKÓW i PRUSZKOWIAKÓW, ale bez obaw niczego ani nikogo nie mam zamiaru przerabiać w TEATR MODY... Natomiast fragmenty felietonu z lutego 2022 mają klimat pewnych rozterek twórców MODY, KINA, BALETU, a dotyczą one zarówno WIELKICH, jak i MAŁYCH, ŚREDNICH, NIJAKICH i zakochanych w sztukach pięknych. Przepraszam, ale paskudnie to napisałem, ma to wyglądać i brzmieć tak: „i ZAKOCHANYCH w SZTUKACH PIĘKNYCH” i naprawdę nie szkodzi, że jak to w życiu bywa „BEZ WZAJEMNOŚCI”. Myślę i to proszę MOICH CZYTELNIKÓW piszę bez kokieterii, mój powrót do malarstwa po niemal sześćdziesięciu latach „nieróbstwa” też nosi efekty „bez wzajemności”. Manuel de Falla TRÓJKĄTNY KAPELUSZ, premiera poznańska SOIRÉE DE GALA 1965 soliści TERESA KUJAWA i WYBITNY POLSKI CHOREOGRAF CONRAD DRZEWIECKI TYM RAZEM W ROLI TANCERZA! TEN FELIETON jest zapowiedzią, LISTOPADOWEGO i myślę, że jak pożenię OTRĘBUSY z ŁODZIĄ, ŁÓDŹ z POZNANIEM, PRUSZKÓW obowiązkowo z WARSZAWĄ a OSTOJĘ PĘCICKĄ z BAŁUTAMI – to wyjdzie z tego albo DŻUNGLA ARTYSTYCZNA ALBO PEJZAŻ PIĘKNEJ POLSKIEJ ŻŁOTEJ JESIENI, lub nie... J. A.

Siedzę na rewii mój, czego ostatnio unikam (żeby się niepotrzebnie nie wzruszać?). Na szczęście są na pokazie piękne kobiety, niektóre tylko na przesadnie wysokich szpileczkach chodzą na ugiętych nóżeczkach.

Pokaz, niemalże benefis, piękne marszczone przy karczku płaszcze beczulki, tylko martwi modele jak z trumny wyjęci, zupełnie jak z filmu Kubricka. Ponieważ jestem starym pacyfistą, a wojnę przeżyłem naprawdę, to jeśli chodzi o Kubricka, to wolę, i mogę chodzić pasjami na „Mechaniczną pomarańczę”, ale okazało się, że nie tylko. Zawsze kiedy siadam do pisania felietonu, otwieram sobie telewizor, bo lubię, jak mnie coś rozprasza, ale też czasem jest coś na rzecz, tak było kiedyś z Rashōmonem, tak było z Moulin Rouge, tak było z filmem Bergmana „Tam gdzie rosną poziomyki”.

Siedzę sobie w nocy z moją Eriką Neumann to moja maszyna do pisania. Widzę neurotycznego romantyka z giwerą o jakichś aerodynamicznych kształtach, piękniśnia

i kochanka kilku pokoleń - to Christopher Walken w filmie, który oglądałem w nieistniejącym już kinie Skarpa na Kopernika w Warszawie - „Psy wojny”. „Full Metal Jacket” powstał siedem lat później, a ja siedem lat później odkryłem już inne kino, zaczął się stan wojenny i oglądaliśmy na kasetach w wielkiej konspiracji (nasza konspira była tak hulaśliwa, że zomowcy też to z nami oglądali), a były to „Białe noce” z pięknie tańczącym Barysznikowem, który właśnie dał nogę ze Związku Radzieckiego. I teraz czas najwyższy, aby zbliżając się do finału, napisać, o co tak naprawdę się upieram przy tych kamizelkach. Wracam do domu, mocno zestresowany, i tu, proszę drogie czytelników - olśnienie. Rozwiesiłem w ogrodzie, przed wyjściem na spotkanie, no właśnie co? Około trzydziestu moich kolorowych kamizelek z dawnych kolekcji. Czego tu nie ma - są dzieci kwiaty, wiszą donżuan i bon vivanty, atlasy i welury, i jest też kamizelec skromnego subiekta żywcem od Wokulskiego. To ja z wojen to już wolę moją nieustającą wojnę z molami, tu nie trzeba ani armat, ani kamizelek kuloodpornych, a tamte piękne dzieci kwiaty z lat siedemdziesiątych żyją nadal w mojej wyobraźni.

Za zgodą „Głosu Pruszkowa”

Andrzej Pacuła

Kolofon



foto. B. Kucharek

Mamy w naszej stolicy jedyną, a więc największą na świecie Bibliotekę Książek Nieczytanych. Nie tylko czytelnicy, ale także my, bibliotekarze, nie zaglądamy dalej niż do strony tytułowej. Katalogujemy wedle tematyki, autorów, opisów na frontyspisie i stronie tytułowej, i desygnujemy do odpowiednich działów. Książek przybywało, Biblioteka rozrastała się harmonijnie, aż do dnia, kiedy zdarzyła się ta tragiczna, niepojmowalna rozumem historia.

Nasza koleżanka, wytrawna bibliografka, znawczyni estetyki i historii książki, posunęła się w swojej dociekliwości o krok za daleko. Dostała do skatalogowania starą księgę, formatu in folio, która wzbudziła w niej naukową ciekawość. Po odczytaniu informacji z grzbietu, okładek i strony tytułowej, postanowiła jeszcze zajrzeć do kolofonu.

I tam zniknęła. W niewytłumaczalny sposób. Jeszcze przed chwilą pochylała się nad grubym woluminem, jeszcze sięgała po coś do swojej torebki, gdy w ułamku sekundy jej krzesło stało się puste, a rozłożone na biurku in folio ostatnim śladem jej istnienia. Rozpoczęte natychmiast w całym kraju poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Także w naszej Bibliotece, krok po kroku przetrząsnęliśmy wszystkie magazyny, półki i zakamarki. Bez rezultatu. Specjalny zespół przeszukał księgę, w której zaginęła. Była pusta. Ani śladu znakomitej bibliografki, ani śladu druku. Wszystkie karty były białe. Rzecz jasna także frontyspis i strona tytułowa. Sprawdziliśmy w katalogu nabytków. Kiedy księga trafiła do naszej Biblioteki nosiła tytuł "Biblia".



fot. J. Papp

Andrzej Wyrobiec

Teatr
Bagatela

Do teatru po KREDYT.

Kredyt to szpetne słowo. Brzmi twardo i jakoś tak ostatecznie. Kojarzy się z przykrą sytuacją finansową, zobowiązaniami, wizytami w banku, konsultacjami z doradcami i stosem papierów z wyrokiem na samego siebie do podpisania. Co więcej, zamieszanie wokół przyznania kredytu nie zawsze musi być zwieńczone sukcesem, bo bank może uznać, że nie mamy zdolności kredytowej. I nie ma zmiłuj – kasy nie dostaniemy.

Historia starania się o coś tak mało romantycznego jak kredyt, jest kanwą sztuki o prozaicznym tytule „Kredyt”.

Tę komedię, która podbija europejskie i amerykańskie sceny, napisał kataloński dramaturg Jordi Galceran. I właśnie „Kredyt” jest najświeższą propozycją teatralną Bagateli.

Przedstawienie, w dwuosobowej obsadzie, które na Scenę na Sarego 7 przygotowuje Marcel Wiercichowski (grający także rolę kredytobiorcy), tylko na pozór jest o pieniądzu. Owszem sporo się o pieniądzu mówi, ale wbrew tytułowi nie on są głównym bohaterem tej opowieści. „Kredyt” jest o miłości, ludzkich zaniechaniach i ambicjach, krótkowzroczności, zadufaniu i manipulacji innymi.

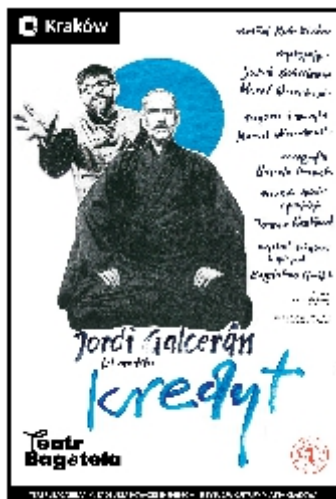
Brzmi poważnie? Również i poważnie ma być! Ale jednocześnie jest to sztuka z dialogami skrzącymi dowcipem, ripostami niczym z najlepszych filmów Woodiego Allena i suspensowym finałem. Jest wyborną, bawiącą do łez komedią. Jej teatralną siłą są doskonale skrojone sylwetki dwóch obecnych na scenie bohaterów, i świetnie zarysowane niby drugoplanowe postaci, których nie zobaczycie.

„Kredytu” nie można w żaden sposób streścić. Bo gdybym napisał, że do dyrektora banku przychodzi klient i prosi o pożyczkę, to co w tym uwodzącego czy zachęcającego? Niech Was jednak zastanowi, dlaczego wspominałem o nieobecnych na scenie innych bohaterach... No właśnie.

W sztuce Galcerana, która wydaje się być napisana specjalnie na Scenę na Sarego 7, obok Marcela Wiercichowskiego zobaczycie w roli dyrektora banku Jakuba Bohosiewicza.

Scenografię, kostiumy i plakat zaprojektowała Urszula Czernicka. Światła wyreżyserował Tomasz Wentland, asystentką reżysera, a zarazem inspicjentką, jest Magdalena Gródek.

Jak po KREDYT to tylko do Teatru Bagatela! Premiera 25 listopada 2023.



Pocztówki z kolekcji Marka Sosenki



Pałac Czapskich



Plac Matejki



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Wieści ze Zvisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

JEŚLI KTOŚ Z NASZYCH CZYTELNIKÓW
MA ZBĘDNE EGZEMPLARZE GAZETKI
PROSIMY O PRZEKAZANIE ICH DO
REDAKCJI.

Na październikowej manifestacji w Warszawie „Zvis” reprezentowała „Nocna Zmiana”. Dla naszych reprezentantek duuuuż bużka!

Znany krakowski bard dostał rolę Stańczyka w jednej ze sztuk granych przez KTO. Ciekawe czy jak prawdziwy Stańczyk duma nad przyszłością państwa i narodu, czy nad przyszłością „Zvisu”?

Nadchodzi zima. Ostatnie spóźnione zvisowe ptaki przygotowują się gorączkowo na odlot do swych zimowych siedlisk.

Tradycyjnie już Nadredaktor otrzymał od Pana F. jesienne orzechy (smaczne). Obeszło się też bez wizyty u stomatologa.

Powróciła stała społeczna warta przy pomniczku Piotra. Wartownikowi proponujemy założenie czapki krakowskiej z pawim piórem, będzie wyglądał bardziej uroczyście.

„Vis á Vis” jest chyba jedyną kawiarnią, w której stały klient otrzymuje ulubione danie szybciej, niż zdąży złożyć zamówienie! Tak trzymać!

Podczas ostatnich zvisowych posiadów były konsul w jednym z krajów Ameryki Środkowej wygłosił referat na temat wydawania wiz. Przydługi monolog przerwało dopiero dostarczenie pizzy.

„Nocna Zmiana” rozrasta nam się niebywale. W ostatnim „sabacie” uczestniczyło siedemnaście osób. W takim tempie „pączkowania” będzie stanowiła jedyną klientelę lokalu.

Odnotowujemy obywatelską postawę jednego z bywalców Jasia C. Przybył na wybory aż z Norwegii. Polacy z zagranicy czują się bardziej Polakami, niż niektórzy stali mieszkańcy naszego kraju.

Nadredaktor otrzymał od jednego ze znanych kompozytorów unikalny album – kalendarium jego życia „Nad jakąś rzeką, w jakimś kraju”. Szczególną satysfakcję sprawia fakt zamieszczenia w nim kilku zdjęć jego autorstwa. (No musiałem się tym pochwalić! „N”).

Marek Michalak Droga do raju cz. 63

Droga do raju... z trąbką

Jesienią 1967-go roku w zespole Czarne Perły pojawił się super fajny muzyk. Miał zastąpić innego muzyka - saksofonistę, który dostał propozycję grania w „Niebiesko Czarnych”. Kłopot polegał jednak na tym, że nowy muzyk opanował wspaniale grę na skrzypcach. Czarne Perły potrzebowały raczej dla swojego mocniejszego brzmienia dwa instrumenty dęte. Któregoś dnia podczas próby zespołu spytałem Zbyszka, czy może gra na jakimś „dęciaku”. Powiedział, że nie, ale ma w domu trąbkę. Poprosiłem, żeby przyniósł tę trąbkę na następną próbę. Pojawił się cały podenerwowany. Wyjął trąbkę z futerału, wydobyl kilka przypadkowych dźwięków i już wiedziałem, że takiego tonu trąbki nie wolno zmarnować. Powiedziałem mu to i przekonałem, że z jego zdolnością muzyczną szybko ogarnie ten instrument. Napisałem mu nutami melodię a nad nutami cyferki dla palców, które miały naciskać odpowiednie tłoki w trąbce do wydobywania prawidłowych dźwięków. Nie był do końca pewien, czy mu się to uda i zapytał, jak będzie pewien, że zagrane dźwięki będą na odpowiedniej wysokości. Uspokoilem go tłumacząc, że musi zaufać swojej intuicji. Nie tak od razu, ale poszło. Widać było, że to mu się spodobało. Ten krótki etap naszego wspólnego grania przełożył się u Zbyszka Wodeckiego, (bo o nim piszę) dzięki wytężonej pracy na niezapomniane trąbkowe frazy w jego późniejszych kompozycjach. Na efekty tej pracy nie trzeba było długo czekać. Wkrótce pojawiły się już nie tylko skrzypce i trąbka, ale również wspaniały głos w zespole Anawa czy u Ewy Demarczyk. Nasze drogi krzyżowały się od czasu do czasu na różnych koncertach. A nawet udało się z okazji jubileuszu 50-lecia Jazz Band Ball Orchestry zarejestrować na CD-Live jego występ gościnnie w jednym z utworów.




foto: archiwum

Wierzę, że te trąbkowe dźwięki pomogły Zbyszskowi dotrzeć drogą prosto do raju.

Zbysiu, do usłyszenia w eterze - Marek.




foto: B. Kucharek



Andrzej Dyga

materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Andrzej Kowalski
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis á Vis,
www.zvis.pl
zvisirnyek@gmail.com

 visaviskrakow